DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO
IM. PROF. LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Nr. 5 (24). Listopad - Grudzień 1936 r.

Rok V.

MŁODY GEOGRAF

TREŚĆ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.
REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.
Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

Józef Staśko.

Za Pirenejami zaczyna się Afryka.

Tak mówią Francuzi, a czy mają słuszność?

Niech o tem powiedzą fakty wzięte z geografii półwyspu Iberyjskiego, z geografii fizycznej i z geografii człowieka.

Właśnie jesteśmy świadkami straszliwego kataklizmu, w jaki pogrążył się naród hiszpański. Zawierucha wojny domowej rozpętała się nad Hiszpanią, gdzie armaty i samoloty niszczą arcydzieła sztuki i architektury w ciągu całych wieków stawiane i pieczołowicie chronione, a ludzie wyrzynają się tyciącami nawzajem, walcząc po ulicach miast i wsi, zdobywając dom za domem. Tragedja narodu hiszpańskiego, zda się, rozpętała się nagle i niespodzianie, ale to tylko pozornie, bo oznaki jej widoczne były już przed wielu latami. A choćby wkrótce ucichł szczęk oręża poza Pirenejami, nie tak łatwo będzie uciszyć te straszne namiętności raz pobudzone do szalonego wysiłku. Dlaczego doszło do tej katastrofy, jakie przyczyny tego okropnego nieszczęścia całego narodu? Dlaczego tak głęboko zakorzenił się tutaj komunizm, a nie gdzieindziej? Bo właściwie natrafił na podatne podłoże, podatny grunt przygotowany oddawna przez specjalne stosunki socjalne i społeczne. Omówimy właśnie geograficzne stosunki tych warunków.

Hiszpania to wyżyna otoczona górami, których łańcuchy stromo opadają zewsząd ku morzu. Stąd to różnice zachodzące między wybrzeżem, a wnętrzem kraju. Na wybrzeżu dużo deszczów i ciepła, krajobrazy przypominające Italię czy południową Francję, a zatem przepyszna wegetacja, lasy wiecznie zielone, wspaniale rozwinięte winnice i ogrody, a dalej wielkie zgęszczenie się ludności bardzo przedsiębiorczej i pracowitej, mieszkającej w dużych, przemysłowych i bogatych miastach.

Zupełnie inaczej rzecz się ma we wnętrzu kraju, na wyżynie otoczonej i pokrytej potężnymi łańcuchami poszarpanych, skalistych grzbietów górskich. Wyżyna ta zajmuje cztery piąte całej Hiszpanii. Oto wiatry morskie tam prawie że nie dochodzą i dlatego panuje tam ostry klimat suchy i niesprzyjający życiu roślin, ani zwierząt, a również i gospodarce człowieka. Zimy są chłodne, często mroźne, np. w północnej Kastylii, a lata upalne i suche powodujące wytworzeniu się stepów i ogromnych pustkowi, np. w La Manche i Estremadurze. Noce są całkiem chłodne, jak na stosunki południowej Europy i temperatura spada nieraz poniżej $+20^0$ C, tymczasem w dzień temperatura podnosi się aż do $+50^0$ C i więcej. Te wielkie amplitudy dzienne, przy zupełnie bezchmurnym niebie i szybkiem wypromieniowaniu ciepła nie mogą ułatwić

pracy na roli, ani tembardziej w ogrodach i dlatego wszędzie rozwinęło się tutaj pasterstwo. Hiszpania zawsze sprowadzała zboże z zagranicy, głównie z Polski, już w wiekach średnich i na początku wieków nowszych. Okręty gdańskie dochodziły aż do Sewilii, a szlachcie polskiej wiozły wzamian za ziarno słynne kordubany, sławniejszą jeszcze stal giętką jak trzcina, oraz drogocenne tkaniny.

Jak wyglądają poszczególne krainy hiszpańskie? Wprawdzie Katalonia jest bardziej podobna do okolic nad Rodanem czy do Riwiery francuskiej, ale wystarczy pojechać z Barcelony do sąsiedniego Montserratu, a oczom zdumionego turysty zwiedzającego niezwykły klasztor z Czarną Matką Boską ukazują się przepaściste turnie i skaliste pustkowia ciągnące się aż po sam horyzont. Katalonia pełna kwitnących ogrodów, winnic i drzew pomarańczowych zawsze walczyła z nieurodzajną Kastylią o prymat na półwyspie Pirenejskim tak, jak jej stolica Barcelona zawsze starała się prześcignąć Madryt w dążeniach i urządzeniach cywilizacyjnych. Ta właśnie Katalonia z jej przemysłem i wielką ilością robotniczych miast stała się fermentującym ośrodkiem rewolucyj i zamieszek, strajków i bomb, nie licujących z godnością swej najwyższej na półwyspie kultury.



Barcelona. Kolumna Krzysztofa Kolumba w porcie. U stóp na granitowych cokołach spoczywają potężne lwy. Wewnątrz żelaznej kolumny jedzie się windą do galeryjki pod samą postacią 8 metrowej wysokości, skąd jest rozległy widok. Fot. J. Staśko.

A cóż się zobaczyło już z okien wagonu, ledwie opuściwszy wspaniałą Katalonię? Krajobraz zmienił się nagle, jak na ekranie kina. Wśród ciasnych

i zamykających horyzont potężnych skał w głębokim wąwozie szumią mętne fale rzeki Ebro. A poza jej przełomem spalona od słońca, nędzna trawa na rozległej równinie Aragonii. Czasami zobaczy się z okien wagonu przyczepione do skał domostwa o płaskich dachach nie ocienione żadnym drzewkiem. Boczne dolinki, poprzez które tor kolejowy przebiega wiaduktami i mostami, zarzucone są głazami i zdają się być nietknięte przez człowieka, a wyschłe koryta strumieni mówią wyraźnie o panowaniu tu słońca. Krajobraz przygniata tu swą dzikością.

Jeszcze gorzej przedstawia się Kastylia. To step jakby gdzieś z gór Atlas. Klimat wybitnie kontynentalny. Pragnienie stale męczy mimo wchłaniania w siebie niezliczonej ilości różnych napojów. Wioski i miasteczka bardzo rzadkie skupiają się przy liniach kolejowych i nad parowami, gdzie sączą się do połowy wyschłe strumienie. Wrzaski i wycia pastuchów mieszają się z ustawicznym trzaskaniem z batów długich na kilka metrów. Stada krów i owiec wypasają konno, siedząc na siodle nieraz przez cały dzień. Wieczorami słyszy się rzewne i smutne ich pieśni nawet na przedmieściach samego Madrytu. Stolica Hiszpanii to sztuczna oaza założona przez Filipa II. Dokoła niej ziemia wszędzie czerwona, sypka, spękana i pełna ostrych ostów i zeschłej trawy. W La Ventas pod Madrytem będąc tam na wycieczce, dowiedziałem się, że już od 50 dni nie padał deszcz. Obracają się zwolna ogromne skrzydła wiatraków. Żóraw studni skrzypi niemiłosiernie, a chłop ubrany w białe lniane łachmany, krzyczy bezustanku do osła: „Ośle, idź!"



Madryt. Pałac Komunikacji. Dziś w czasie strasznych walk z powstańcami siedziba rządu madryckiego i główna radiostacja. Przed gmachem wznosi się wspaniały pomnik przedstawiający boginię Cybellę jadącą rypwanem zaprzężonym we lwy.

Madryt! Ileż treści w sobie mieści to jedno słowo! Ten tylko wie, kto spędził w niem przynajmniej pięć dni wędrówki po jego przepysznych kościołach, muzeach i pałacach. Nieprzebrane skarby sztuki, malarstwa, rzeźby, literatury i złotnictwa mieszczą się w przepysznych gmachach stawianych w ciągu setek lat kosztem całych pokoleń. W Madrycie ciągnącym się na

długość 20 kilometrów znajduje się wiele rozległych parków pełnych świeżego powietrza i bujnej, prawie podzwrotnikowej roślinności. Obok wyniosłego, 7 piętrowego pałacu królewskiego, jednego z największych gmachów na świecie, płynie w dolinie brudny Manzanares, gdzie praczki piorą bieliznę. Wpobliżu stacji kolei podziemnej „Metro“ na przedmieściu Quatro Camines (Cztery drogi) brudne i cuchnące domki i stragany pełne owoców i warzyw, a obok gromady dzieciaków i osłów włóczących się bez opieki. Na chodnikach przy stolikach licznych kawiarń siedzą tłumy mężczyzn i popijają wino, przegryzają oliwki, grają w domino i śmieją się głośno.

Jedźmy teraz na południe, do „słodkiej Andaluzji“, tak pięknie opiewanej w poematach i dramatach. Znamy ją z książek, ze sceny teatralnej, z muzyki i opowiadań. Znamy ją z tego wszystkiego, co do nas przychodziło w ciągu wieków ze Sewilii, i zdaje nam się, że to jest Hiszpania. Gorąco Południa i gorąca krew hiszpańska. Dziki śpiew i szalony taniec, jedwabne stroje i czarne koronki i hafty na chustkach, duże grzebienie i gęste woalki, a przytem stale wachlarz, branzolety i kolczyki ogromnych rozmiarów.

A tymczasem ta słodka Andaluzja — dosłownie słodka przez swoje pomarańcze i wina — oczom turysty przedstawia się jakby pustynna równina. Jedynie nad samą rzeką Guadalquivirem ciągną się tak zwane huertas i vegas t. j. ogrody i łąki, lecz i tu latem trawa spalona i drzewa bez liści i cienia. Maleńkie wioski i folwarki rozrzucone na rozległej równinie wyglądają mizernie i biednie. Ryki osłów ciągnących wielkie ładowne wozy o dwóch kołach przykro drażnią uszy. Chłopi ubrani w wąskie, krótkie spodnie, krótki jedwabny stanik, noszą dokoła szyi duże barwne chusty, na głowie szerokie słomiane kapelusze, a na nogach niskie grube trzewiki. Typy rosłe, ogorzałe, wesołe. Słyszy się wszędzie śpiew i muzykę.

Andaluzja jest jeszcze bardziej kontrastową krainą niż poprzednie. Pociąg zjeżdża z gór Czarnych (Sierra Morena) do doliny Guadalquiviru, a w oddali wiecznym śniegiem pokryte ukazują się góry Śnieżyste (Sierra Nevada). Wybrzeża Atlantyku bieleją długiemi zwałami nadmorskich wydm piaszczystych, wśród których szeroko rozrzucone płaty soli robią niesamowite wrażenie. Wśród rozległej równiny stepowej wznoszą się przepyszne miasta o zabytkach dawnej świetności z czasów mauretańskich: Cordoba z meczetem, którego 19 naw wspiera się na 800 kolumnach, Sewilia z przepysznym pałacem Alcazarem, Granada z Alhambrą (Czerwone Miasto). sidziba mauretańskich władców, i wiele innych miast przypominających bardziej pobliskie Marokko niż Europę.

Kiedy tak się podróżuje po Hiszpanii i widzi się świat zupełnie odrębny od tego, co się przywykło widzieć dotychczas, zdumiewać się można podziwiać — czy słusznie? Poznajmy jeszcze człowieka, mieszkańca tych krain, potomka starożytnych, dzikich Iberów, a może znajdziemy podobieństwo i odbicie w nim samej natury i wcale nie zdziwią nas jego okrucieństwa także w XX. wieku popełniane.

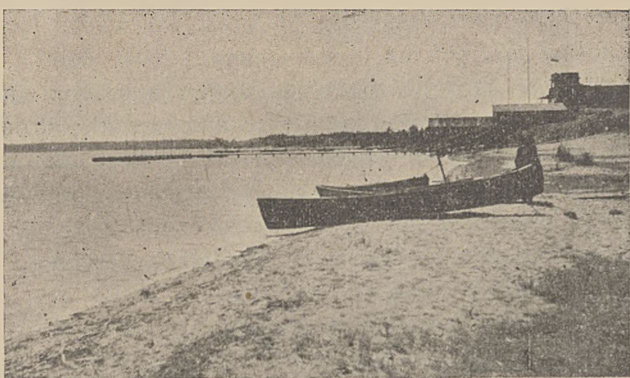
C. d. n.

W. Walczak, student geogr. U. J.

Motocyklem przez Pojezierze Wileńskie.

(Dokończenie).

Budzi nas mglisty nadąsany niskim pułapem chmur ranek. Deszcz wisi w powietrzu, a z deszczem grozi nam wrazie rozmoknięcia piaszczystych dróg odcięcie odwrotu. Mimo to udajemy się jeszcze na brzeg jeziora, którego szare, wzburzone wody walą w piaszczystą plażę białemi grzebieniami fal. Nadchodzi burza. Niema czasu na namysły. Jedynym wyjściem jest próba ucieczki w zasięgu nadciągających czarnych chmur. W Brasławiu krótkie zatrzymanie się dla nabrania benzyny i jazda drogą do Turmont na brzegi Dryświat. Za Brasławiem padają pierwsze krople deszczu, a wnet po nich otwierają się upusty niebieskie i zaczyna lać, co się zowie. Przykra to sprawa jazda w takich warunkach, gdy olbrzymie krople z impetem wzmocnionym pędem maszyny sieką w twarz, przebijają wilgocią „nieprzemakalną“ kurtkę zalewając szkła okularów, a co gorsza piaszczysta droga rozmaka zupełnie i maszyna idzie od fosy do fosy, bo najmniejszy skręt kierownicy powoduje zarzucenie po całym gościńcu. W takich warunkach przy napięciu nerwów do ostatnich granic, jakich wymagało opanowanie maszyny, przemoczeni zupełnie i otrzaskani błotem przebywamy dzielące nas od jeziora ostatnie 26 kilometrów. Dopiero, gdy stanęliśmy za wsią Miałka nad jeziorem, ulewa ustała tak nagle, jak nagle przyszła, a nawet wśród szarych chmur pokazały się płaty jasnego, pogodnego nieba.



Jezioro Narocz. Fot. W. Walczak.

Powierzchnia jeziora wzburzona podobnie jak nad Drywiatami, sinoszare grzywiaste fale uderzają z szumem i bełkotem w brzeg. Nisko nad falami krążą z krzykiem małe, białe mewy.

Jezioro Dryświaty posiada kontury bardziej rozczłonkowane od Drywiat czy Naroczy i przypomina z grubsza szeroko rozwartą podkowę. Dlatego nie

robi na pierwszy rzut oka tego wrażenia wielkości co poprzednie, gdyż przeciwny brzeg jest zupełnie dobrze widzialny i można gołem okiem odróżnić miejsca, gdzie pokrywają go lasy, a gdzie jest bezleśny.

Dla porównania wielkości powierzchni pozwolę sobie przytoczyć kilka cyfr. Mianowicie co do powierzchni największym jeziorem w Polsce jest Narocz 82·4 km², następnym jest jezioro Dryświaty 41 km², a czwarte co do wielkości Drywiaty 35.5 km². Dryświaty jednak, jak już wspomniałem z powodu większego rozczłonkowania nie wywierają takiego wrażenia wielkości jak Narocz i Drywiaty.



Nad jeziorem Dryświaty. Fot. W. Walczak.

Teraz czeka nas dość piaszczysta droga do miasteczka Dryświat. Zjeżdżamy z małego pagórka, naszą stroną jedzie furmanka chłopska naturalnie według uświęconego tradycją zwyczaju naszych poczciwych chłopków lewą stroną. Sygnał. Wózek powoli zjeżdża na właściwą stronę, lecz w sekundę potem, gdy jesteśmy tuż, koń na widok maszyny staje dęba i momentalnie wóz zajeżdża drogę w poprzek, zabarykadowując ją prawie zupełnie. Przeraźliwy skrzyp hamulców, potężne zarzucenie na rozmokłej drodze i na poły wisząc nad stokiem spadającym do jeziora siedzimy błotnikiem od przyczepki na tylnej osi wózka. Koń skacze jak najęty, a niefortunny woźnica zaniemówił z wrażenia. Wypadek ten powoduje dla nas stratę w czasie, gdyż możemy ruszyć dopiero po dobrej chwili, odgiąwszy skrzywiony w tej opresji błotnik siedzący zupełnie na kole.

Dalej już bez przygód mijamy Dryświaty i po 12 km. już w południe dojeżdżamy do Widz, skąd po zjedzonym naprędce obiedzie kierujemy się przez Twerecz do Święcian. Droga po rannej ulewie silnie rozmokła sprawia dużo kłopotu na zakrętach, ale jakoś wyciąga się ponad czterdziestkę. Całe szczęście, że nareszcie się wypogadza i słońce zaczyna akcję wysuszania naszych przemokłych postaci.

Za Twereczem droga wije się nad brzegami jeż. Orszweta, małego wprawdzie, lecz malowniczego, o brzegach bezleśnych, zarosłych trzciną i błękitnej tafli wód. Jestto jedno z ostatnich jezior pojezierza, leżące przy

naszej drodze. Dalsza bowiem droga do Swięcian nie daje już sposobności sposobności podziwiania malowniczych jezior, zato teren staje się coraz bardziej pagórkowaty, a od czasu do czasu szosa przecina skupienia lasów świerkowych i mieszanych,

Ze Święcian po zaopatrzeniu się w benzynę bez zwłoki jedzieny dalej na Podbrodzie, początkowo bardzo dobrą szosą, ale wnet radość nasza niknie, gdyż szosa zmienia się gwałtownie w piaszczysty, leśny trakt, a następnie groźna tablica: „droga wskutek naprawy zamknięta“ objazd i t. d. I zaczyna się karkołomny objazd leśną ścieżyną, po sterczących w piasku potężnych korzeniach, między potężnymi pniami wiekowych świerków, których nisko zwieszające nad drogą gałęzie smagają po twarzach. Wreszcie las kończy się i z kolei następują pola, przez które od wioski do wioski prowadzi ta wązka piaszczysta drożyna. Lawirując między jej wybojami, to znów pośród opłotków mijanych wiosek wydostajemy się wreszcie na możliwą szosę nowo wykończoną i już bez przygód osiągamy Podbrodzie, a stąd stoi przed nami otworem doskonała szosa do Wilna.

Lecz zwykle już taki los motocyklisty, że tam, gdzie tarapaty się kończą i zdaje się, że nareszcie będzie można pędzić jak na skrzydłach, to do głosu wtedy przychodzi pech. No i rzeczywiście trzeba mieć pecha, żeby po tych tarapatach nie gdzie indziej, lecz właśnie tu na gładkiej szosie aż trzy razy nawaliła „kicha“. Dzięki temu piękne wieże kościołów wileńskich zobaczyliśmy już dobrze po zachodzie słońca.

L. Menasse, kl. III. a.

Moje wrażenia z pobytu nad morzem.

(Dokończenie).

Dojeżdzamy do Gdańska. Szofer pokazuje nam pałac Wysokiego Komisarza Ligi Narodów oraz inne ciekawsze budowle. Zwiedzanie miasta rozpoczynamy od Dworu Artusa. Jestto jakgdyby małe muzeum, utworzone przez bogatego mieszczanina gdańskiego kilka wieków temu. W dwu dużych salach mamy tu zebrany szereg cennych zabytków, jak drogie stare obrazy, „Sąd ostateczny“ nieznanego artysty, meble gdańskie, zbiory herbów cechów rzemieślniczych i precyzyjne modele statków żaglowych. Następnie zwiedzamy wspaniały ratusz, którego tylko częś jest dostępna dla publiczności. Przedsionek ratusza wykładany jest artystycznymi kaflami gdańąkimi. Na drzwiach, prowadzących do jednej z sal, jest wyryty herb Polski. W salach ratusza podziwiamy stare freski, na ścianach i sufitach, piękne kominki kaflowe, portrety burmistrzów Gdańska i wogóle przepych tu panujący. Po przeszło półgodzinnym zwiedzaniu ratusza oglądamy słynną studnię Neptuna i charakterystyczne, wąskie domy z przed kilkuset lat, potem dźwig nad Motławą, niestety tylko z zewnątrz kolosalny kościół Marjacki, poczem udajemy się do Wieży tortur. Ciemny, odrapany budynek tchnie jakąś posępnością. Cele

malutkie, bez okien, drzwi kamienne usunięte. Między celami grubość muru wynosi cztery metry, więc komunikacja między więźniami była uniemożliwiona. W celach dla skazanych na dożywotnie więzienie przymocowane dyby, inni mogli poruszać się ze skutymi rękami i nogami aż do drzwi na łańcuchu. Ściany pokryte napisami i datami: „das, dass Got ist, glaube nicht", to zdanie wyryte zapewnie przez niewinnie skazanego w celi maluje nam najdodosadniej cierpienia moralne skazańca i tragedię tak straszliwą w swych skutkach, spowodowaną przez tragiczną omyłkę sądu. Skazanego na smierć tracono w pozycji klęczącej; do dziś przechowują w jednej z cel topór katowski, pokryty rdzawemi plamami skrzepłej krwi oraz pień, na którym widać dokładnie ślady cięć toporem. Opuszczamy ponure więzienie 'z jakąś ulgą i na zakończenie zwiedzania miasta idziemy oglądać synagogę.

Synagoga jest dużym, starym, pięknym gmachem. Zawiadowca oprowadza nas po wspaniałej świątyni, pokazuje nam stare, do 300 lat liczące rodały, arcydzieło pod względem wykonania i małe muzeum znajdujące się w synagodze, zawiera ono stare amulety, rękopisy w języku hebrajskim, drogocenne stare naczynia i t. d. Na tym kończymy zwiedzanie Gdańska i jedziemy do Langfuhr. W Langfuhr oglądamy jedynie piękne krematorium i obok wspaniały cmentarz, gdzie leżą urny z popiołami spalonych w krematorjum. Cmentarz jest najpiękniejszy w lecie i w jesieni, gdyż kwiaty oraz piękne aleje róż czynią z niego jeden olbrzymi ogród. Jedziemy teraz do Oliwy. W Oliwie mamy trzy godne zwiedzenia objekty: katedrę, park i muzeum. W kolosalnej katedrze słuchamy przedewszystkiem starych organów. Organy te liczą około 300 lat i mają 8.000 piszczałek. Oprócz nich znajdują się w katedrze mniejsze organy, dzieło tego samego mistrza. Podczas gry małe figurki aniołków dzwonią. Po grze oprowadza nas przewodnik po katedrze. Pokazuje stare obrazy, o treści zaczerpniętej ze Starego i Nowego Testamentu, miejsce, gdzie rosło drzewo oliwne, od którego wzięła nazwę ta miejscowość i stół, na którym podpisał pokój ze Szwedami Jan Kazimierz. Katedra posiada oprócz ołarza głównego 33 mniejsze ołtarze boczne.

Z Katedry udajemy się do parku. Z obu stron jednej z alei maleńkie jakby groty z kamienia — szept w jednej „muszli" odbija się wyraźnym echem w drugiej. Inna aleja — z obu stron gęsta ściana drzew, w dali — widok na siną taflę morza. Idziemy dalej. mały wodospadzik, obok kilka egzotycznych palm. Nieco dalej stawek z łabędziami i złotymi rybkami. Na każdym drzewie tabliczka, oznaczająca nazwę, oraz kraj, z którego pochodzi Czytamy: Kalifornia, Japonia, Azja Południowa i t. d. W parku duży budynek, to jeden z dwóch oddziałów muzeum. Zawiera wykopaliska, rekonstrukcje dawnego Gdańska, stare rękopisy, nuty, druki, monety, medale, autografy (między innymi list komtura krzyżackiego na pergaminie), plastyczny plan Gdańska, fotografie Oliwy, mundury wojska niemieckiego, ordery, modele statków, zegary wskazujące rok, miesiąc, dzień i godzinę, dział sztuki ludowej etc.

Oliwa jest ostatnią miejscowością, którą zwiedzamy na terenie W. M. Gdańska. Jedziemy teraz do Gdyni. Najpierw udajemy się do portu, by zdążyć na czas do motorówki, która wyjeżdża co godzinę na zwiedzanie portu. Obok siebie stoją dwie motorówki: duża, mieszcząca sto kilkadziesiąt osób, „Gryf" i mniejsza, „Rekin". Wsiadamy do „Rekina". Za chwilę odjazd. Przewodnik stara się przekrzyczeć przez tubę turkot motoru. Jakaś pani, widząc potężne dźwigi oraz nowoczesne urządzenia portu, przypomina sobie ze wzruszeniem małą wioskę rybacką, gdzie bawiła przed kilkunastu laty. Jakiż kontrast między maleńką wioską z przed laty kilkunastu, a największym dziś portem na Bałtyku i czwartym, jak nas informuje przewodnik, w Europie! Objeżdżamy pokolei wszystkie baseny. W dali na redzie stoi kilka okrętów, czekają na holowniki, które wprowadzą je do portu. Zapada wieczór, motorówka przybija do brzegu. Teraz jedziemy na Kamienną Górę. Na szczycie stoi krzyż oświetlony potężnymi reflektorami. Obok ma stanąć Bazylika Morska. Patrzymy na miasto. Rzędy świateł wskazują główne arterie komunikacyjne miasta. Dokoła, jak okiem sięgnąć, morze światła. W śródmieściu kilka kolorowych reklam świetlnych. W dali niewyraźne światełka półwyspu i latarni na Helu Zjeżdżamy z Kamiennej Góry, jedziemy z powrotem. Szybko mijamy Redę, Puck, Gnieżdżewo, Tupadły, Jastrzębią Górę. O północy jesteśmy w Karwi. Po drodze mieliśmy 4 rewizje celne: dwie przy budkach granicznych, potem za Puckiem i w Jastrzębiej Górze.

Przy końcu przepięknych wakacji nad morzem mieszkałem jeszcze kilka dni w Gdyni u krewnych Byłem jeszcze raz w Oliwie i Zopottach, zwiedziłem Orłowo i oczywiście oglądnąłem dokładnie Gdynię. Pół dnia wałęsałem się z kolegą po porcie. Byłem na kilkunastu okrętach, przeważnie handlowych. Z większych okrętów pasażerskich widziałem jeden z naszych nowych transatlantyków, niestety tylko z zewnątrz, m/s Piłsudskiego, s/s Kościuszkę, oraz duży statek francuski „Meknes", który bawił z wycieczką. Na kilku okrętach dostaliśmy od marynarzy znaczki pocztowe. Popołudnia spędzałem na oglądaniu miasta i spacerach. Byłem też holownikiem w Oksywiu, gdzie znajduje się grób śp. Gen. Dreszera. Holownik zatrzymuje się w porcie wojennym, gdzie stoją nasze kontrtorpedowce „Wicher i Burza", oraz łodzie podwodne. Na Oksywiu znajdują się koszary wojskowe i krótkofalowa radiostacja polowa. Wracając z Oksywia do holownika przypatrywałem się pracy w „Paged", Polssiej Agencji Drzewnej. W dniu odjazdu z Gdyni oglądnąłem jeszcze dworzec morski i z bliska czerwoną w białe pasy łuszczarnię ryżu. Z żalem żegnałem przepiękne wybrzeże i żałowałem, że tak szybko minęły me najpiękniejsze wakacje.

Karol Gawlik: kl. II. b.

Wśród wrzawy wielkich miast i ciszy uroczych gór.

(Z wędrówek wakacyjnych garść wrażeń).

Wakacje nastręczają każdemu uczniowi mnóstwo okazyj do różnych wycieczek. Każdego bowiem pociąga ogromny, tajemniczy i pełen przeróżnych

dziwów świat. Jedni podążają w góry, za słowami poety „W góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cię“ i wędrują pieszo lub rowerem wzdłuż i wszerz kraju, by poznać cuda jego krajobrazu i odetchnąć pełną piersią żywicznym powietrzem gór i lasów.

Inni wędrują od miasta do miasta, poznając ich historię, wartość narodową i kulturalną. Tak i ja korzystając z wielo tygodniowych wakacyj podróżowałem pociągami po Polsce, poznałem wiele jej okolic i zabytków, a wrażeniami z tej podróży chciałbym się podzielić z czytelnikami „MŁODEGO GEOGRAFA“.

W pierwszym etapie mojej podróży postanowiłem dokładnie poznać Kraków, znany mi już z tysięcznych opowiadań, legend i obrazów. Nic też dziwnego, że szum i stuk wagonów o szyny toru wzbudził w mym umyśle obrazy najdawniejszych historii tego grodu. Przed mojemi oczyma przesunęły się widma bohaterskiego wodza Wiślan, walczącego z potwornym smokiem, by uchronić swój naród od zagłady. Potym wizja dumnej Słowianki, Wandy, gardzącej miłością księcia niemieckiego plemienia, jej bohaterska śmierć i lament żałujących dobrej władczyni poddanych.

A gdy wieczorem zbliżałem się do Krakowa, zdala oznajmiła jego bliskość łuna świateł, błyszczących pożarem na srebrnych falach Wisły. Migocą światła na Wiśle, a blady księżyc rzuca smugę na skałę i wawelskie mury. Mury te są symbolem przeszłości i wielkości tego grodu, gdyż cały Kraków uległ w nowszych czasach wielu zmianom, lecz Wawel stoi niezmienny na straży historycznych pamiątek.

Większość Polaków zna dokładnie Kraków i często go odwiedza, lecz za każdym razem poznaje w nim coś nowego i wyczuwa coraz to inne skarby.

Tak i ja znałem i podziwiałem Kraków tylko powierzchownie, poznałem jego historię przeszłości, lecz nie znałem dokładnie jego historycznych epok i przemian kulturalnych. Dlatego tegoroczną wycieczkę właśnie na ten cel poświęciłem. Przy pomocy zawsze usłużnych przewodników i zakonników zdołałem stwierdzić, że Kraków w swym życiu kulturalnym przeszedł różne przemiany. Pierwotną osadę Piastów i kupców słowiańskich zaludniły na przełomie XIII wieku liczne rodziny niemieckich kolonistów, których chętnie przyjmowali na dogodnych warunkach książęta polscy, bowiem kraj cały był słabo zaludniony z powodu licznych walk domowych i najazdów obcych. To też pierwotny Kraków, noszący w swych murach piętno kultury romańskiej: bazylik, kaplic i budowli świeckich, uległ wkrótce przeobrażeniom, zwłaszcza że w architekturze zaczęły zajmować pierwsze miejsce prądy artystyczne to jest gotyk. Powstało więc w tych czasach, zamiast ciężkich kopulastych murów wiele strzelistych lekkich kościołów, ustrojonych mnóstwem wieżyc i wieżyczek. Pierwotne formy tego stylu rozpowszechnione w Krakowie przez niemieckich artystów uległy wkrótce pewnym zmianom, osobliwych polskiej sztuce.

Przedewszystkiem zmieniono materiał budowlany Niemców, to jest kamień na cegłę. W tym też stylu powstało dużo budowli jak: kościół

O. O. Dominikanów, kościół N. P. M. ozdobiony bezcennemi wprost rzeźbami największego rzeźbiarza tej epoki, Wita Stwosza. Niezrównany ten artysta rzeźbiarz, snycerz, malarz, odlewacz i rytownik. złożył w tym kościele dowód swej polskości, tworząc wspaniały ołtarz w formie tryptyka, któremu niewiele jest równych w całej Europie.

Zwiedzając w dalszym ciągu zabytki, poznałem czasy Jagiellonów, a zwłaszcza obu Zygmuntów, za których to panowania przyszedł do Polski z Włoch wraz z Królową Boną nowy prąd zwany Renesansem czyli Odrodzeniem. Propagowali go uczeni włoscy, a społeczeństwo polskie chętnie naśladowało wzory starożytnych Greków i Rzymian. Przykładem tego prądu w budownictwie jest kościół św. Piotra zbudowany w formie dużego krzyża z kopułą w środku. Stropy jego wspierają się na symetrycznie rozmieszczonych kolumnach, podobnych do kolumn ze świątyń ateńskich. Na froncie tego kościoła stoi wiele posągów świętych i Apostołów. Podobne postacie widzimy również we wnękach ściany frontowej. Arcydziełem tego stylu jest również kaplica Zygmuntowska wzniesiona na kwadratowej podstawie i przyozdobiona misternej roboty kolumnami i rzeźbami, a przykryta kopułą ze złotą blachą. Jest to dowód potęgi i bogactwa Polski Zygmuntowskiej. Dach tej kaplicy za czasów niewoli posmarowano grubą warstwą smoły, by nie drażniła chciwego wzroku zaborców. Padobnie budowano i budynki prywatne, przebudowano stare kościoły i przykrywano ich w pierwotną postać nowymi ozdobami tak, że trudnoby było określić ich wiek i wartość artystyczną, gdyby nie uczynność znających historię Krakowa przewodników.

Rozwojowi sżtuki krakowskiej towarzyszył wielki również ruch umysłowy. Tu pracowali dla dobra kraju i nauki tacy ludzie, jak Długosz, tu nauczał, gromił i przepowiadał przyszłość ks. Piotr Skarga Pawęski. Przez długie wiekj Kraków jako stolica kraju promieniował swą kulturą i znaczeniem nietylko na Polskę, ale na całą Europę. Tu przyjmowano przedstawicielstwo papieża i obcych państw. Tu również kornie na klęczkach składał królowi polskiemu hołd książę pruski. A w kilka wieków później, gdy Polska podupadła, a wrogowie plądrowali cały kraj, złożył uroczystą przysięgę chłopski generał, Tadeusz Kościuszko, że wraz z ludem będzie walczył za wolność Polski do ostatniej kropli krwi. Upadł Kościuszko, ale nie wyginęła w Polakach chęć wyswobodzenia się z obcego jarzma, a Kraków był środowiskiem, które słało swoich obywateli do niezrównanego boju z przemożnym wrogiem. Stąd też wyszły pełne nadziei w zwycięstwo w r. 1914 Legiony Piłsudskiego, by ofiarą swojej krwi i życia wskrzesić ojczyznę. Wszystkie ważne momenty w historii tego miasta i Polski uwieńczył na płótnie niezrównany mistrz pędzla, krakowianin Jan Matejko. Jego arcydzieła zwiedzałem specjalnie na Wawelu i w muzeum Narodowym, nie mogąc wyjść z podziwu, ile to mocy i życia włożył artysta w martwe płótno. Jego prace uzupełnił piórem poeta-malarz, Stanisław Wyspiański, który w swych dramatach specjalnie podkreślał piękno i wartość narodową Krakowa, zwał go nawet Akropolem Polski.

Pod koniec mego pobytu w Krakowie zwiedziłem mnóstwo placów, na których wdzięczne miasto uświetniło pamięć swoich bohaterów kamiennymi pomnikami. Byłem również na kopcu Kościuszki, oraz na Sowińcu i poznałem wiele innych zabytków, lecz ich bliżej nie opisuję, gdyż wielu już kolegów je zna, a niektórzy przyczynili się drobnymi grudkami ziemi do wzniesienia kopca Marszałkowi, a inni wkrótce tam przy pierwszej sposobności podążą.

Po trzytygodniowym blisko pobycie zmęczony i pełen wrażeń wyruszyłem w dalszą drogę, by poznać krajobrazy naturalne i drobniejsze miejscowości. Wyjeżdżam z Krakowa wczesnym rankiem, migocą przed oczyma wzgórza tu i ówdzie pokryte lasami, uprawne pola zaludnione tłumem żniwiarzy korzystających z pięknej pogody. Dalej zjawiają się inne krajobrazy. Zamiast zielonych drzew wyrastają lasy czarnych kominów, otoczonych koronami szarego dymu. To kominy fabrycznych okolic Bochni, a wreszcie Tarnowa.

Tarnów naogół stare miasto, pełne jest wąskich ulic i uliczek, na których panuje ruch handlowy. Obok tego pełno fabryk, które napełniają miasto wielkim gwarem i bieganiną spieszących do pracy robotników. Do osobliwości zaliczyć można pięknie utrzymany ratusz, oraz pomnik gen. Józefa Bema, bohatera powstania listopadowego. Niedaleko Tarnowa leżą Mościce, jeden z najważniejszych ośrodków przemysłowych Polski, mianowicie fabryka nawozów sztucznych, a w razie wojny fabryka gazów bojowych. W tym mieście nie zatrzymywałem się długo, albowiem miałem w programie podróży zwiedzić jeszcze piękniejsze okolice. C. d. n.

Sprawozdanie z wycieczki do Warszawy 17 X-22 X.

Dnia 17 października pojechali uczniowie gimnazjum jasielskiego do Warszawy. Wsiedliśmy na stacji i wśród nocy dojechaliśmy do Stróż. W Krakowie byliśmy o godz. 11. Za Krakowem usiłowaliśmy zasnąć .To się nie udawało, kończąc się na drzemaniu. Minęliśmy Radom, Warkę, Pasieczno i niebawem zamajaczyły na widnokręgu zamglone zabudowania Warszawy. Pociąg objechał lotnisko na Okęciu i wkońcu wjechał na Dworzec Główny. Wysiedliśmy. Była godzina 7.30. Poszliśmy ulicami do schroniska mieszczącego się w Gimnazjum im. S. Batorego, przy ulicy Myśliwieckiej. Tu się rozlokowaliśmy. Opanowało mną dziwne wrażenie. Jestem w stolicy Polski, w Warszawie, dokąd przyjechałem z końca Polski. Dziwne myśli. Po odpoczynku poszliśmy do kościoła na Placu Trzech Krzyży. Następnie zwiedziliśmy Wystawę Przemysłu Metalurgicznego i Elektrotechniki. Zaciekawiły nas tu najwięcej samoloty, auta, koleje i urządzenia obrony przeciwgazowej. Po obiedzie i odpoczynku zwiedziliśmy Park Ujazdowski z pięknym pomnikiem Szopena. Zkolei wróciliśmy przepiękną ulicą Agrykola do schroniska. Nazajutrz rano zwiedziliśmy pomnik Jana III Sobieskiego, zachwycaliśmy się Łazienkami, pałacem króla Stanisława Augusta i przepięknym parkiem. Potem pojechaliśmy tramwajem na Plac Zamkowy. Tu obejrzeliśmy charakterystyczną

dla Warszawy kolumnę Zygmunta III. Następnie zaznajomiliśmy się z historią i pięknem zamku królewskiego, dzisiejszą siedzibą prezydenta Rzeczypospolitej. Na Starym Mieście zwiedziliśmy rynek z kamienicą Baryczków, Fukierów i innymi. Malowane kamienice uczyniły na nas wrażenie piękna i starożytności. Byliśmy jeszcze na ul. Kamienne Schodki i Krzywe Koło. Po obiedzie obejrzeliśmy pałac pod Blachą, mieszkanie księcia Józefa Poniatowskiego i most Kierbedzia na Wiśle. Na Pradze zainteresował nas Ogród Zoologiczny. Wieczór spędziliśmy w teatrze na „Ślubach panieńskich“. W trzecim dniu zwiedziliśmy główną arterię handlową Warszawy, ulicę Marszałkowską, zaczynającą się przy Ogrodzie Saskim, a kończącą na Placu Unii Lubelskiej, pod pomnikiem Lotnika. Obejrzeliśmy kościół Zbawiciela na placu tegoż imienia, gmach Politechniki i złożyliśmy hołd przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Następnie podziwialiśmy dzieło Thorwaldsena, pomnik Józefa Poniatowskiego i pałac Brühlów. Zwiedziliśmy także gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ze znajdującymi się tu arcydziełami malarzy polskich. Po obiedzie pojechaliśmy autobusem do Wilanowa, gdzie zachwycaliśmy się rezydencją Jana III. Wieczorem poszli niektórzy na operę „Straszny Dwór“. Inni tymczasem spali. W ostatni dzień pobytu w Warszawie zwiedziliśmy gmach Sejmu i Senatu przy ulicy Wiejskiej. Później obejrzeliśmy muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze. Każdy przedmiot, znajdujący się tutaj przypomina zmarłego Wodza. Zkolei zwiedziliśmy Krakowskie Przedmieście z kościołem P. P. Wizytek, św. Krzyża, uniwersytetem i pomnikami: Kopernika i Mickiewicza. Wkońcu zaznajomiliśmy się z katedrą św. Iana i jej przeszłością. Po obiedzie obejrzeliśmy muzeum Wojska, jedno z najpiękniejszych muzeów tego rodzaju w Europie i najdłuższy most Warszawy, most Józefa Poniatowskiego. Później chodziliśmy sami grupami po Warszawie, aby zaznajomić się lepiej z jej życiem. Nazajutrz zebraliśmy „manatki“ i pożegnaliśmy Warszawę. Wsiedliśmy do pociągu na dolnym peronie. Pociąg unosił nas coraz dalej od stolicy. Do Iasła przybyliśmy zmęczeni, lecz pelni wrażeń o godzinie 11 w nocy.

Uczestnik.

Władysław Zacios, IV a.

Z wierchów.

U stóp mych mgła. Ciężka w swojej wielkości, potężna, nieobjęta leżała w głębokich kotlinach górskich. Z tej białej topieli wynurzały się skąpane w promieniach wschodzącego słońca potężne wierchy tatrzańskie: Rysy, Kuźnica, Granaty, Krywań.

Mgła pełzała u stóp kamiennych olbrzymów, wyciągając długie rozczapierzone macki, wciskając się w głębokie skalne parowy ziejące jeszcze ciemnością i zimnem nocy. Nagle poczęła się kłębić i przewalać. Halny...... Z wierchów pędził w doliny, wciskał się w każdy załom skalny, plątał się w gęstwinie kosówki, świszczał i wypadał wściekiejszym. Rozpędził mgły

i resztki mgieł ciskał na krzesanice, strzępił o ostre turnie. Pewnie góry rozgniewane, że odważyliśmy się deptać ich dumne czoła, zmówiły się z potężnym bogiem Poświstem, a on nasłał halnego na pomoc.

Wiej, wichrze! Bo dzika radość zalewa mi duszę, gdy smagasz mi oblicze, rozgrzewasz krew, a z myśli robisz pioruny!.....

. . . .

Pamiętasz ten ranek nad Morskim Okiem? Słońce rzucało z nad dzikich turni pęta złotych promieni. Otoczona hufcem granitowych rycerzy, tafla stawu grała symfonią kolorów. Ponury Mnich topił w spokojnej wodzie swój granitowy kaptur. Żabie Szczyty spływały do niej jasnym seledynem. Odbijał się w wodzie biały śnieg leżący w ciemnych żlebach.

Gdzieś w dali spadały potoki siklawami, rzeźbiąc w granicie białe żyłki. Z Czarnego Stawu pędził z hukiem do Morskiego jakiś piekielny bóg wód tatrzańskich i milkł w spokoju Morskiego, a ono zdziwione lekko marszczyło seledynową toń.....

. . . .

Wodogrzmoty Mickiewicza. I widać tylko białą pianę rozbitej wody o głaz i czujesz na twarzy zimne kropelki, a słychać tylko huk wody, odbity stokrotnym echem o skalne ściany. Musisz pamiętać to, bo łączy cię z tym wspomnień tyle....

To znowu wabiła mię wąska perć zaczepiona nad przepaścią. W uszach grała melodię śmierci i cisza lub czasem huk głazu lecącego w przepaść. Z za zielonych złomów, na zielonych piargach szczerzyła swe zęby śmierć.

Na szczytach syciłem wzrok i duszę widokami i słuchałem mowy gór: „Jesteśmy potężne, dźwignięte niesamowitą gigantów mocą — groźne. Bo groza dała nam początek i piękno“.

Tu odnalazłem swe serce, które przykułem w płomiennych snach do tych turni. Kocham was, turnie i skalne doliny, co patrzycie pawimi oczkami stawów, i was obślizgłe żleby i gładkie granie Kocham, was roztoki tatrzańskie, co toczycie spokojnie swe wody w leśnych wykrotach, co znowu pędzicie oszalałe z góry, by stoczyć się w przepaść strumieniem siklawy, co bulgocecie, zdławione w skalnym wąwozie Pokochałem was, lasy i hale zielone, i całe wy góry, bo groźne jesteście i pięknem dyszycie

I dziki żal zatargał mą duszą, że was, góry, opuścić musiałem.

Ludy Wedda.

Od czasu, gdy teoria Darwina o rozwoju rodu ludzkiego dała podstawę do nowych badań na polu etnografii porównawczej i psychologii, zaczęto specjalnie zajmować się najniższymi rasami ludzkości, których nieliczne resztki z zamierzchłej przeszłości do dzisiaj przetrwały.

Wśród tych ludów najniższe miejsce zajmują Weddowie, pierwotni mieszkańcy Ceylonu. Badania odkryły w nich jeden z najstarszych i najprymitywniejszych szczepów rodzaju ludzkiego, który i budową ciała i wielu cechami umysłowymi różni się od innych ras ludzkich tak dalece, że można

go zaliczyć więcej do t. zw. antroposimiów, niż do zwykłych ludzi.

Uczeni klasyfikują Weddów jako resztki prastarej odmiany rasy ludzkiej t. zw. Varietas primaria, która przed tysiącami lat zamieszkiwała cały Hindostan i Dekan. Jeden odłam taj rasy dostał się do Ceylonu i tu potem został wyparty przez Syngalezów i inne nowsze ludy do najgłębszych puszcz i gór, gdzie do dzisiaj w „rajskim stanie natury" przetrwali.

Już uczony Palladius wspomina w IV wieku o dzikich Weddach Ceylonu jako o ludziach na najniższym stopniu kultury stojących i charakterystycznym jest, że owe opisy z najdawniejszych czasów w całości można zastosować do dzisiejszego ich stanu.

Żyją w niedostępnych kniejach naigłuchszych borów i w skalistych jaskiniach górskich okolic, wolni od trosk i światowego zgiełku, nie znają potrzeb, obchodzą się bez domów i gospodarskich narzędzi. Polowanie stanowi ich jedyne zajęcie, a las daje im wszystko, co do życia potrzebne. Żyją zadowoleni i szczęśliwi, otoczeni obcą ludnością, od której stronią i której poznać nie pragną.

Dżungla ich światem, dobrodziejką i żywicielką, całym ich życiem i istnieniem. Dzisiejszy obszar ich zamieszkania ciągnie się wąskim pasmem górzystej okolicy na północ od rzeki Kumbukkan, wzdluż wschodniego wybrzeża wyspy, gdzie dżungla jest najdziksza i najmniej zaludniona. Ilość ich obliczają na 2.200 osób.

Nie skupiają się razem w osady, lecz żyją osobno pojedynczymi rodzinami, rozprószeni po lasach i górach. Dzielą między sobą las na osobne rewiry łowieckie i surowo przestrzegają ich granic. Koczują gdzie wypadnie w cieniu drzew lub w jaskiniach wśród skał. Śpią na gołej ziemi bez posłania i pod tym względem stoją niżej nawet od goryli i orangutanów, albowiem te małpy układają sobie legowisko z liści lub suchych gałęzi.

Organizacyj społecznych nie znają, czasem zawierają między sobą małżeństwo i to tylko w pewnych porach roku. Są uczciwi i spokojni, obchodzą się bez praw, przepisów i sądów.

Wzrostu są małego, budowy ciała chudej i kościstej, odznaczającej się niezwykłą długością rąk w stosunku do tułowia. Stopy mają duże i płaskie. Wielki palec u nogi jest w odstępie od innego palca i na zewnątrz zwrócony, zdolny do chwytania. Kolor skóry ciemnobronzowy. Czaszka mała i śpiczasta, twarz szeroka i płaska, zęby krzywo wystające z poza warg. Zarost ich jest ciemny, a długie i kudłate włosy spadają im z głowy na ramiona.

Ubrań nie znają żadnych, nawet przepaski na biodrach.

Niektóre pojęcia ludzkie, jakie spotykamy nawet u najniższych afrykańskich murzynów, są im obce, np. pojęcie próżności, a więc zdobienie ciała, a dalej pojęcie potrzeby jakichkolwiek naczyń, sprzętów domowych lub kuchennych. Pokarm roślinny spożywają w stanie surowym, mięso pieką na patyku nad ogniem i jedzą bez soli. Miód, który wyszukują w dziuplach drzew, zastępuje im sól, i używają go w różny sposób, jako pokarmu i środka do konserwowania mięsa.

Jedyne narzędzia Weddy to łuk, topór i krzesiwo. Władają zręcznie i celnie łukiem i strzałą W wyborze potraw nie są wybredni. Z wyjątkiem mięsa pantery i szakala oraz wężów jadowitych, jedzą wszystko, co w dżungli chodzi. lata i pełza.

Są nadzwyczaj bojaźliwi, unikają spotkania z innymi ludźmi. Białego boją się jak ognia. Gdy im potrzeba topora lub nowego ostrza do strzały, których sami sporządzić nie umieją, zbliżają się w nocy do osady ludzkiej i koło mieszkania kowala zawieszają na drzewie kawał mięsa dziczyzny i wyrobioną z drzewa formę narzędzia, jakie pragną posiąść. Krajowcy wiedzą. co to ma znaczyć. Biorą mięso za zapłatę i następnej nocy Wedda może sobie zabrać przedmiot mu zostawiony.

Język Weddów posiada mało wyrazów. Wedda nie lubi wogóle mówić. Podobno nie umieją się śmiać ani płakać Imion własnych nie mają wcale. Pojęcie liczb jest im obce. Nie rozumieją podziału czasu na okresy, lata, miesiące, dni i godziny.

Umysł Weddy obraca się w szalenie ciasnych granicach duchowego życia. Religii żadnej nie znają, pojęcie Boga czy wogóle wyższej jakiejś Istoty jest im obce. Nie są w stanie nauczyć się czegokolwiek. Rząd angielski stara się ich już od 80 lat nagiąć do kultury, lecz wszystkie zabiegi misjonarzy czy wysłańców rządu spełzły na niczem. Wedda przeniesiony do cywilizacji przy najbliższej sposobności zrzuca ze siebie ubranie i ucieka do dżungli.

Charakterystycznym wreszcie rysem Weddów jest to, że nie znają wogóle obrządku pogrzebu. Nieboszczyka zostawiają na miejscu śmierci, a rozkład ciała i dzikie zwierzęta dokonują reszty.

Kwestia Weddów stanowi niezbadane pole antropologicznych studiów dla całego zastępu uczonych. Szereg dzieł obszernych i poważnych głównie w języku angielskim stanowi osobną i ciekawą literaturą w tym przedmiocie.

Prawdopodobnie Wedda wymrą zupełnie w najbliższej przyszłości, jak już wymarli Kanakowie na wyspach hawajskich lub Tasmańczycy w Tasmanii i to w zetknięciu się z nasza cywilizacją.